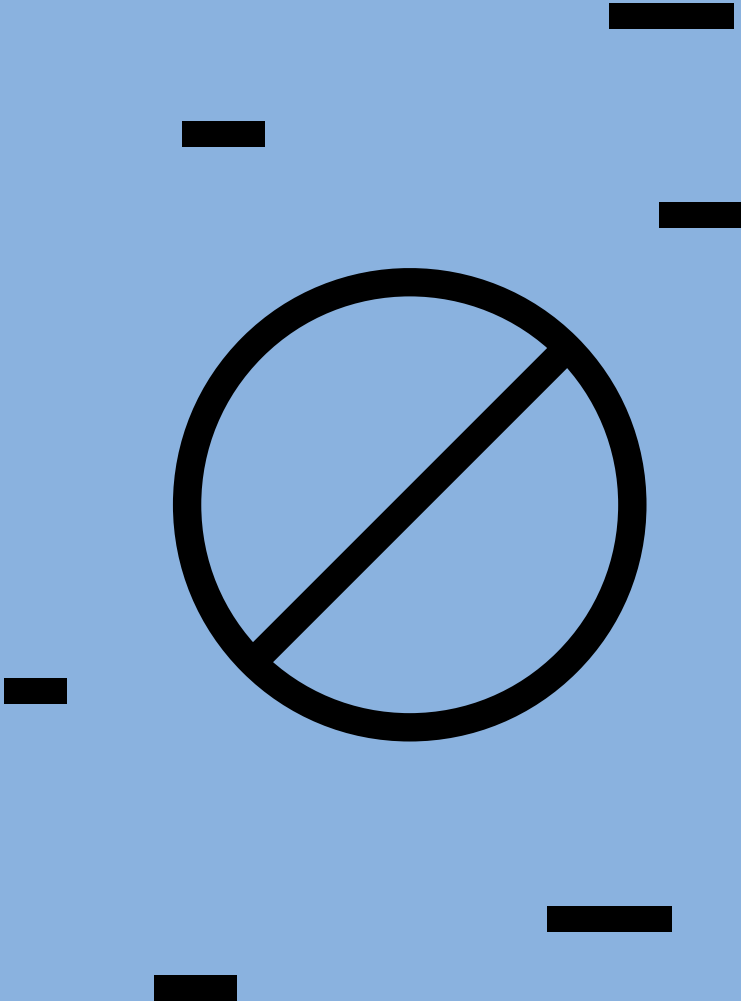


Artem Czech
Punkt zerowy



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Wschodni Express
Seria wydawnicza

TOURNEY

FRANK

Artem Czech

Punkt zerowy

Eseje

Przełożył Marek S. Zadura

Warsztaty Kultury

Lublin 2022

„Torowi”, „Lasowi”,
„Maestro”,
Sani B., „Młodemu”

Nowe sny

Nowe sny

Ten autobus z prowokacyjnym logo programu „You can dance” – jest jak na ironię komfortowy, jakby wiozł pasażerów nie na poligon, a na jakieś „kąpiele borowinowe”. Czterdziestu jeden poborowych i dwóch oficerów eskorty. Jedziemy do rówieńskiego ośrodka szkoleniowego.

Kiedy tylko skończyły się stołeczne zabudowania i zaczął się las, o mało co się nie rozpląkałem. Sentymentalny, rozczulony przecuciem nowego życia. Speszony nowym emplotem. Wzruszony nieznanym. Wypełniony jakimś chorobliwym pragnieniem jak najszybszego założenia munduru i chodzenia w pikselowym kamuflażu, jak ci wszyscy inni, na których patrzyłem przez ostatni rok z mieszanymi uczuciami zachwytu i winy. Choć wiedziałem, że mnie też na pewno zmobilizują. Jak nie w styczniu, to w kwietniu. Jak nie w kwietniu, to w czerwcu. Takie rzeczy się przeczuwa. Nawet zwolniłem się z pracy. Chciałem dokończyć książkę. Nie zdążyłem.

Autobus zatrzymuje się, mężczyźni przepychają się do wyjścia. Ktoś trąca mnie łokciem. Zamiast „przepraszam”, słyszę przekleństwo.

– Toaleta jest za stacją benzynową – uprzejmie informuje oficer. – Tylko bez kupowania „paliwa”, proszę.

– Ma się rozumieć, że bez kupowania „paliwa” – wesoło odpowiadają mężczyźni.

Alkohol zakupiony został już wczoraj wieczorem, starannie opakowany albo przelany do plastikowych butelek po lemoniadzie.

Przystanęliśmy na papierosa. Jakiś niewysoki wujaszek zawodzi:

– Śni mi się już od około dwudziestu lat taki sen, że biorą mnie do wojska. Mówię, że przecież już odsłużyłem, a oni – ni chuja, marsz do woja. I śni mi się dworzec, autobus, ja idę, buty cisną... Jak tylko na Donbasie się zaczęło, ten sen śnił mi się każdej nocy. No i przyszła karta powołania, więc idę. Jak w tym śnie.

Pozostali mężczyźni mu potakują, wzdychają i na wypródki dzielą się swoimi historiami i legendami. Wspominają Libię i Egipt w siedemdziesiątym szóstym, Afganistan w osiemdziesiątym dziewiątym, opowiadają o Jugosławii w dziewięćdziesiątym czwartym. Ochotnik, który dwadzieścia sześć lat przejeździł w karetce pogotowia ratunkowego, wtórując oficerowi, apeluje do wszystkich, by powstrzymywali się od alkoholu.

Zajęliśmy miejsca i autokar ruszył. Zmęczeni tym podnieceniem, wszyscy nerwowo szepczą, posępnie wpatrują się w krajobraz za oknem. Nie powstrzymują się od alkoholu.

Wcinam kanapki: bułeczki „mały chłopczyk” z serem z karpackim. Zastanawiam się, czy trzeba kogoś poczęstować, czy nie wyjdę w ich oczach na skąpca? Czy nie jest jeszcze za wcześnie? Może później, kiedy już lepiej się poznamy? Spoglądam na tych, którzy z plastikowych flaszek piją coś, co wygląda na koniak – też nikomu nie proponują, piją sami. Uspokajam się.

Gdzieś tam, nieopodal komendy wojskowej na Światoszynie¹, została moja żona, zakłopotana i skupiona na nowych wyzwaniach. Też zaczęła nowe życie: pełne zimnych nocy i trwożnych poranków. Jak długo się nie zobaczymy? Miesiąc? Dwa? Rok? Nigdy?

Wtedy po raz pierwszy wydało mi się, że żyję czyimś życiem. I od tej pory będę widział czyjeś sny. I zajmę czyjeś

1 Światoszyn – dzielnica Kijowa – przyp. tłum.

miejsce, żeby zostać bohaterem, żeby zostać tchórzem. Albo umrzeć.

Tak czy inaczej, każde z nas będzie miało nowe sny.

Atamańszczyzna

Pierwsze, co zauważam w ośrodku szkoleniowym, minąwszy budynki administracji i będąc już w miasteczku namiotowym – to piasek i włosy. Zamiast ziemi – piasek, miejscami starty na proch. I włosy. Na każdym kroku kosmyki, krótkie i długie, czarne, rude i siwe, niby dywan z długim włosiem, pokrywają ziemię. Wieczorny wiatr rozwiewa te włosy, one unoszą się nad namiotami jak puch z topoli. W pobliżu gniazdek elektrycznych siedzą na taboretach nazbyt opaleni mężczyźni. Strzygą ich tacy sami łysi, z obwisłymi brzuchami i z bliznami na całym ciele po dawno przebytych operacjach.

Ja wraz z dziesiątką kijowian, których zebrano pod Komendą Wojskową na Światoszyńcu, z obawą idę między namiotami, czując na sobie ciekawskie spojrzenia miejscowych weteranów.

– Chłopaki, skąd jesteście? – słyszymy.

– Kijów – odpowiadamy.

– Stolica! Buhaha!

Mniej więcej tak wyglądają sztampowe sceny w filmach, gdy główny bohater trafia do więzienia i pierwszy raz przechodzi przez blok do swojej celi.

Nasze mundury są nazbyt nowe, buty nazbyt błyszczące, skóra – wiosennie blada, mamy kieszenie pełne drogich papierosów, a na głowach – resztki wymodelowanych fryzur.

Od razu trafiamy na wieczorny apel. Wzdłuż frontu czwartej kompanii zwiadu kaczkowatym krokiem przechadza się brzuchaty starszy lejtnant w nowym brytyjskim

mundurze w kamuflażu emtepe². Wyczuwa nieudaczników, pali papierosa za papierosem i nabija się ze składu osobowego pododdziału. Około dwustu wcielonych do mojej kompanii, a z wyglądu same obozowe ciury. Czasem ktoś ochoczo reaguje na żarty starszego lejtnanta i chichocze czarnymi bezzębnymi ustami. Czuć smród potu i dymu papierosowego.

Nad namiotami powiewają gdzieś nowe, gdzieś dość poszarpane flagi. Żółto-niebieskie i czerwono-czarne. Za obozem majaczy wysypisko śmieci. Uderza zapach latryny. „Boże, myślę, gdzie ja trafiłem, kim są ci wszyscy ludzie i gdzie są ci zwycięscy i dzielni młodzieńcy z bilbordów? Gdzie wszyscy ci prawnicy, projektanci, dziennikarze, marketingowcy? Gdzie ci, którzy sprzedali swoje rolls-royce’y i poszli na front? Co to za czarna gwardia, co to za machnowsko-hryhorjewscy³ łachmaniarze? Gdzie tu nacisnąć „Ctrl Z” i cofnąć się do czystych stołecznych ulic i wylizanego biura?

Stoję w nowym, jeszcze niewypłóviałym pikselowym kamuflażu, przy nodze leży polski plecak, który wydano mi razem z mundurem, i czerwony plecaczek „Deuter”; dłonie mi się spociły i właśnie w tej chwili uświadamiam sobie, że drogi powrotnej nie ma. Tylko naprzód, razem z kawalerią, siedząc na taczance, z bagnetem w jednej ręce, z mauserem w drugiej, palić, rąbać, strzelać i przy okazji nie zwariować od tej całej przyprawiającej o mdłość atamańszczyzny. Tak to właśnie wygląda – inicjacja, wojskowe strzyżenie, chrzest brudem i kałem.

– Przyzwyczaisz się – mówi do mnie Losza, który przyjechał razem ze mną. Ale on, w odróżnieniu ode mnie, ma doświadczenie z wojska. Wspaniale zna się na tutejszych prawach i zwyczajach.

- 2 MTP (ang. Multi-Terrain-Pattern) – uniwersalny kamuflaż, przeznaczony dla różnego typu terenu.
- 3 Ataman Nestor Machno i ataman Matwiy Hryhorjew – przywódcy anarchistycznego powstania w latach 1917-1921 – przyp. tłum.

Zrobiło się ciemno. Nad miasteczkiem namiotowym brzęczą komary. Prowadzą nas na wycieczkę do miejscowej toalety. Długi na trzysta metrów wychodek, zbity z desek zdjętych, rzecz jasna, z innego wychodka. A wzdłuż niego, poniżej ścian – dwa rowy. W rowach nieczystości, białe wykwity chloru i krew. Chyba hemoroidy są tu najpowszechniejszą przypadłością.

Przez chwilę wyobrażam sobie, jak jutro z rana będę załatwiać grubszą potrzebę, siedząc wraz z innymi, dupa przy dupie. Usiłuję odsunąć od siebie ten obraz. Myślę też o tym, jak to będzie za miesiąc, półtora: krótko ostrzyżony, opalony, z łuszczącą się skórą na nosie i brudnymi od mazu rękami, będę siedział na stołeczku przed namiotem i wpatrywał się w twarze nowo przybyłych. Chyba nawet będę spluwał. Może przez zęby. Przez ten czas mój kamuflaż wypłowieje do jednobarwnego koloru jasnej ochry, moje wojskowe buty poszarzeją od pyłu, moje stopy zrogowacieją od odcisków, a przede mną będą nowe wyzwania, kolektyw, jednostka, z pewnością też wojna, a może nawet kalectwo lub śmierć. Ale tymczasem jestem tu nowy, pachnę świeżym potem i poranną wodą Givenchy, przybija mnie to, co zobaczyłem, i przygnębia przeczucie nieodwracalności.

No, a mój ataman – on stoi – brzuchaty dupek w mundurze w brytyjskim kamuflażu.

Jeden dzień

Najbardziej przerażające sny przychodzą przed świtem. Zazwyczaj śni się coś z życia na obszarze krajowym⁴: żona,

- 4 Obszar krajowy - w czasie wojny część terytorium państwa, nieobjęta działaniami wojennymi i niebędąca ich bezpośrednim zapleczem, zwykle pod władzą dotychczasowej administracji zarówno cywilnej, jak i wojskowej – przyp. tłum.

syn, ludzie z przeszłości, studia, szkoła. Te wizje niepokoją i męczą, ale po przebudzeniu uświadamiasz sobie, że już od trzech tygodni nie jesteś panem swojego losu. „Gdzie ja jestem? Dlaczego ja?” – po raz kolejny myślisz, wyłaząc ze śpiwora. – „I co przyniesie mi nowy dzień?”

To pierwsze pół godziny nowego dnia – nie sprzyja ci, demony żalu i strachu atakują czemuś tylko na wpół rozbudzonych. Dlatego dobrze jest zjeść śniadanie i przejść upokarzającą procedurę porannego apelu. Kiedy nad głową robi się widno, wszystko wraca na swoje miejsce. Strachy się rozwiewają, sny się zapomina, do dowódcy plutonu nie czujesz już takiej niejasnej nienawiści jak we śnie. My chyba też już go tak nie irytujemy.

Idziemy na poligon. Już o ósmej słońce spieka szyje i nosy. Nasze wojskowe buty wzbijają gęstą ścianę białego piasku. Ciężko jest oddychać. Czasem przechodzimy z marszu w bieg. Ale mimo wszystko rozmawiamy. O czym? Rozmawiamy o poprzednich pracach, dawnych doświadczeniach, przeżytych dramatach, przekroczonych granicach, a także, rzecz jasna, o broni, sprzęcie i ich danych technicznych. Choć wszystkie te skrót i skrótowce niewiele mi mówią. Co mogą mi powiedzieć, skoro byłem jednym z tych nielicznych chłopców, którzy czytając *Wojnę i pokój*, pomijali rozdziały o wojnie?

Uczą nas strzelać. Ktoś ze znających się na rzeczy mówi, że robią to źle, na pierwszej linii nikt tak nie strzela. Uczą nas czołgać się i okopywać. A także intensywnie trenujemy biegi, tak jakbyśmy tam cały czas mieli uciekać przed śmiercią albo ją gonić. Do tego całego szkolenia dochodzą jeszcze niezrozumiałe skrajne postawy instruktorów: poczynając od ich maniakalnego rygoryzmu, dotyczącego formularzy, sprawozdań i konieczności składania przez nas podpisów w każdej możliwej rubryce, a kończąc na olewaniu podstawowych zasad bezpieczeństwa. To stoimy w wielogodzinnych

kolejkach po trzydzieści naboju i podpisujemy dziesiątki papierów, to bez żadnej kontroli wydają nam skrzynki z „muchami”⁵ – i prawie nikt nie sprawdza, kto i gdzie z nich strzela.

Jeśli chodzi o czołganie się i o biegi – to jest to prostsze. Tu masz tylko własne nogi, wiatr w plecy i serce. Dobrze, jeśli jest zdrowe. Dla niektórych bieg staje się swego rodzaju koszmarem, nieuchronnie kończącym się w suchym piasku. Wtedy polewa się ich wodą, transportuje do punktu medycznego, w zaschnięte usta wpycha walidol. W takich wypadkach instruktor krzyczy:

– Ci ranni! Kurwa, nie było już ich więcej?! Niech ich szlag trafi. Biegniemy dalej!

Biegniemy dalej. Myślę o rannych. Zresztą, sądząc po ich wyglądzie i biorąc pod uwagę ich wiek, to rannymi są już od dawna. Tyle że dotychczas nikt tego nie zauważył.

Wracamy do obozu. Jemy obiad, czyścimy broń. O czwartej apel i znowu nauka – aż do zmroku. Czasami instruktorom nie chce się prowadzić nas na poligon, wtedy siedzimy w namiotach. Roztapiamy się od upału, czekamy na wieczór, stoimy w kolejce do „baryłki” – polowego kiosku, gdzie można kupić wszystko, co niezbędne, z wyjątkiem alkoholu.

Usiłuję czytać. Ale już w pierwszym tygodniu w ośrodku szkoleniowym zrozumiałem, że muszę o tym zapomnieć. Nie da się czytać: zbyt głośno gra radio, nazbyt doskwiera upał, nowe doświadczenia i warunki wzbudzają o wiele silniejsze emocje niż jakiegokolwiek teksty.

Wieczorem wpełzam do śpiwora. Noce są tu chłodne, jak w subtropikalnej prerii. Przykrywam się jeszcze kołdrą. Komuś skądś dostarczono telewizor, teraz zagłusza radio. Ktoś o północy przychodzi smażyć kartofle. Z dworu dochodzą

5 RPG – ręczny granatnik przeciwpancerny; uzupełnienie tłumacza: chodzi o RPG-18 „mucha”.

odgłosy sprzeczki zwiadowców i puszkarzy⁶. Pięćdziesięciowatowa żarówka, która samotnie zwisa z sufitu, oślepia jak podczas przesłuchania na Łubiance. Nakrywam głowę kurtką. Odpływam. Przez mgłę i słodkie koszmary usiłuję analizować swój pobyt tutaj. „Chłopie – złościsz się sam na siebie – przecież tak tego chciałeś! Chciałeś tej całej zabawy w majora Payne’a i w Alaina Lefevre’a⁷, chciałeś szkolenia i musztry do utraty przytomności, chciałeś wojny do zwycięstwa i powrotu z niej w chwale? Chciałeś zostać jednym z nich? Chciałeś posmakować swego prawdziwego patriotyzmu? To się przyzwyczajaj, przystosowuj. Albo, do diabła, pieprz to wszystko!”

Pęd do przepustki

Zmobilizowani w ośrodku szkoleniowym dzielą się na takich, którzy chcieliby wyjechać stąd choćby i na jeden dzień, i na takich, których nieprzerwany pobyt na poligonie w zasadzie zadowala. Ci pierwsi to przeważnie ludzie mający rodziny bądź „gazownicy”. Za płotem poligonu toczy się zwyczajne życie, od którego oni już się odzwyczajają jak od byłej kochanki, ale wspomnienia powodują, że tracą spokój i nerwowo uśmiechają się już na sam dźwięk słowa „wolne”. Przez dwa dni, dzień, nawet kilka godzin. W moim plutonie jest człowiek, który pojechał do domu na cztery godziny. W drodze spędził dziesięć. Ale zobaczył żonę i dzieci, napił się mleka i zjadł domowe kotlety.

Dla kogoś już sam wyjazd, choćby tylko do pobliskiego Równego – to rozkosz. W mieście jest kawiarnia, rynek,

6 Artylerzyści (w żargonie wojskowym).

7 Mayor Payne to postać z filmu *Szczeniackie wojsko*, a Alain Lefevre – z filmu *Legionista* – przyp. tłum.

w mieście są bankomaty i supermarkety. I w mieście można się też napić. Nie tutejszej bragi, po której trafia się do szpitala, a normalnej, czystej i co ważniejsze względnie bezpiecznej wody. A potem z tym szczególnym szykiem, w mundurze, w pikselowym kamuflażu, nie zwracając uwagi na pełne obrzydzenia spojrzenia współpasażerów, półprzytomnym wrócić kostopolską marszrutką. Przez takich właśnie „gazowników” dowódcy niechętnie wypuszczają przyzwoitych rezerwistów. Czasami nie wypuszczają, tak po prostu:

- Nie.

- Dlaczego?

- Powiedziałem - nie.

Czasem bywa na odwrót: oficer w dobrym humorze zwalnia na przepustkę połowę plutonu. Kogoś na dzień, a kogoś na trzy godziny.

Do miasta jeszcze nie zdołałeś przywyknąć, więc ono straszy, zachwyca, dziwi. Wracają dawno zapomniane odczucia, coś nostalgicznego, mgliste wspomnienia z dzieciństwa. Oto po trzech tygodniach spędzonych na letnim obozie dla dzieci, między wąską rzeczką a sosnowym lasem, wracasz do domu, idziesz przez miasto, rozpoznajesz je i przypominasz sobie, zatrzymujesz wzrok na szczególnie ważnych dla ciebie obiektach... Najbardziej dziwią cię ludzie w cywilnych ubraniach. „To panowie jeszcze istnieją? Dziękuję, miło mi na panów popatrzeć”. W kawiarni idziesz do toalety, i pewnie pierwszy raz w tym tygodniu widzisz w lustrze własne odbicie. „Chłopie, to ty? Zmieniłeś się”.

Idąc przez miasto, powstrzymujesz się, żeby, jak masz to już w zwyczaju, nie splunąć na ziemię bądź nie smarknąć naprzemiennie, z lewej i z prawej dziurki. Cofasz się na widok rowerzystów i ze strachem przechodzisz przez jezdnię. Niewiele ci potrzeba: uśmiechnięta kelnerka z plastikowymi kolczykami, dwie filiżanki americano, ciasteczko

„Delikatesowe”, piętnaście minut w księgarni, pół godziny w parku, słodycze do wyboru i koloru w supermarkecie, pół kilo truskawek, obojętne odgłosy miasta. To wszystko znalazło się w Równem. Do domu tym razem mnie nie puścili.

Boją się puszczać. Jak mówią na Podkarpaciu, psu się nie wierzy. Boją się, że po drodze kogoś zarżniesz albo zastrzelisz. Albo zgwałcisz. Albo zjesz czyjś psa. Albo wypróżnisz się pod pomnikiem uznanego działacza kultury. Albo wrócisz pijany. Albo nie wrócisz wcale. Tak jak góral Wowczyk. Podobno zgłosił się na ochotnika. Żartują, że zszedł z gór po zapalniczki, no i zgarnęli go do wojska. Nie ma nawet dokumentów tożsamości – jedynie zaświadczenie z leśnictwa. Wowczyk służył tak jak należy, nie marudził, wzbraniał się od alkoholu. Aż wreszcie wyprosił przepustkę na cztery dni – na czterdziestnicę po śmierci ojca. I nie wrócił, zbrzydła mu służba. Sprawę przekazano do prokuratury. Dowództwo ma problemy, żołnierze poczucie winy, a Wowczykowi grozi do pięciu lat.

Albo inny, nowo wcielony, pochodzący z Łużańska. Spokojny i miły chłopiec, uczestnik masowych zawodów sportowych. Poprosił o przepustkę do miasta, a potem spóźnił się, zabłądził, przyjechał nawalony z niedopitą butelką wódki i piwem w plecaku, stał przed kompanią i śliniąc się, tłumaczył, że odezwały się dawne traumy, mówił też coś o swoim ojcu i o świeżym łyku wolności.

Jeszcze inny wpadł na pomysł, by ukraść w supermarkecie dezodorant – jego przywiozła milicja...

Pragnienie, by wyrwać się stąd bodaj na kilka godzin, zmusza wielu do podstępów, jakiegoś kręcenia, oszukiwania, fałszowania, przymilania się, wręczania łapówek. Pewien dowódca kompanii przyjmuje tylko sprzęt AGD.

Trochę czasu spędzonego poza granicami poligonu dodaje sił, pozwala poczuć się cywilem, a więc – wolnym człowiekiem. Armia usiłuje przyzwyczaić cię do reżimu

i dyscypliny, ale na początku jest z tym kiepsko. W ciągu miesiąca nie reedukuje cię, nie złamie twojej woli ani też niczym nie zrekompensuje ci braku wolności. Przez rok żołnierze oczywiście do wszystkiego przywykną. Pogodzą się z warunkami, zintegrują się z systemem, staną się jego częścią: ujemną, czasem niekonieczną, bywa, że zbyt dużą. Siedzą na ławkach przed namiotami, palą, opowiadają dowcipy, z przerażeniem myślą o Wschodzie, z nadzieją o powrocie do domu, z rozpaczą – o możliwości śmierci. Ale nie dzisiaj, nie, na pewno nie dzisiaj.

Dmytryk

Dima ma czterdzieści lat. W obwodzie czerniowieckim czeka na niego rodzina. Codziennie dzwoni do żony. Przekazuje dzieciom pozdrowienia i jakieś nedorzeczne dla dorosłego mężczyzny „buziaczki”. Najmłodsze ma pięć lat. Przesyła pozdrowienia także jemu. Zdarza się, że rozmawia z córką. Z czułością, z humorem, ale niekiedy stanowczym tonem. Już trzeci tydzień zastanawiam się, czy byłbym w stanie zaprzyjaźnić się z takim człowiekiem. Tak na serio. Cały czas częstuje mnie cukierkami. Pomaga przy broni albo doradza w prostych codziennych sprawach: jak najlepiej zasznurować wojskowe buty, skąd wziąć deski do naprawy pryczy, czym przemyć zakaprawione oczy (jak na złość dopadło mnie zapalenie spojówek). Oczywiście jestem mu wdzięczny za troskę, szczerze mówię o swojej rodzinie, o życiu w stolicy, opowiadam o ludziach, których spotkałem na swej drodze, o smutku, bólu, prawdzie i szczęściu. Słucha uważnie i wierzy w każde moje słowo.

Każdego ranka Dima wstaje o piątej i przebiega kilka kilometrów wokół sosnowego lasu. Biega w czarnych wojskowych butach. Mnie też nauczył, jak je zmiękczyć.

- Będą mięciutkie jak u Josifa Wissarionowicza - wyjaśnił. Jednak zobaczywszy potem moje, kupione za własne pieniądze, letnie wojskowe buty, trzy razy lżejsze od tych przydziałowych, wzruszył ramionami i poprosił, bym nie przejmował się jego głupimi radami.

Po biegu Dima siada na stołeczku przed namiotem, czyści buty i pali papierosa. Pali niedużo - nie więcej niż 10 papierosów dziennie, ale robi to ze smakiem, delektując się każdym zaciągnięciem. Je też niewiele. Zapewne przy swoim metrze sześćdziesięciu więcej nie musi. Ale Dima zawsze ma w kieszeniach cukierki i precelki, i częstuje nimi tych, których lubi.

Jest mi z nim dobrze. Przypomina mi ojca (choć nie jest podobny). Albo raczej starszego brata (którego nie mam). Dima z Czerniowców. Czerniowiecki Dima. Czasami w żartach nazywam go Dmytrykiem. On się śmieje.

Na wojnie będzie mu dobrze. A dla niego wojna zaczyna się już dziś. 30. Brygada idzie gdzieś pod Popasną. Podobno to niespokojne miejsca. Ale on da sobie radę. I z pewnością wróci do żony i dzieci. I nigdy więcej nie będzie przysyłał im pozdrowień, bo dożyją razem starości, w tej samej wiosce, na jednej ulicy, jak to często bywa.

- Mój ojciec i dziadek - daj im, Boże, jeszcze wiele lat życia - mówi Dima - mieszkają obok siebie w sąsiednich domach. W naszej wiosce wszyscy z trzech sąsiednich ulic noszą to samo nazwisko.

Do 30. Brygady każdy z nas chciał trafić. Słyszeliśmy o niej. Bojowa wspólnota, zgrany organizm, wiele porażek, ale jeszcze więcej sukcesów. Jednak z naszej kompanii zwiadowczej wzięli tam tylko Dimę. I on pakuje plecak, zostawia mi torebkę z cukierkami o smaku berberysu, wstrzemięźliwie dziękuje za przyzwoitość, ma nadzieję, że będzie trafił w cel i nie straci głowy, obiecuje telefonować, zakłada plecak na plecy, czarną sportową torbę mocno ścisną w prawej

dłoni, nie zginając się, wychodzi z namiotu. I to wszystko. A ja znowu zostałem sam wśród trzydziestu ludzi. Zachodzi starszy lejtnant, mówi, że za dwa dni wszystkich nas rozprzedadzą. Nawet „gazowników” i debili. „Nawet homoseksualistów” – po coś dopowiedział, czym nie byle jak wzburzył połowę namiotu. Posypały się nieprzyzwoite żarty.

Czekamy. Za godzinę rozpocznie się wieczorne strzelanie. Zapominam, że już dziś czyściłem broń i na nowo rozkładałem automat, myśląc o tym, że nigdy więcej nie zobaczę Dimy. Nawet jak obaj wrócimy żywi. Nawet jak wrócimy zwycięscy, nigdy więcej go nie zobaczę. Takich osób nie spotyka się przypadkiem w metrze ani na plaży w Odessie. Takich nie spotkasz na monachijskim lotnisku, przebiegając między gate’ami czy w nieżyńskiej elektryczce.

Tacy jak on wracają do swojej wsi w obwodzie czerniowieckim, zaprzęgają stary traktor i do emerytury harują na polach i w ogrodach.

A taki jak ja nigdy nie przyjedzie do tej wioski, aby zobaczyć takich jak on. W życiu tak bywa.

A więc Hajsyn

Któż by mógł pomyśleć, że w ciągu trzech tygodni będę w stanie ich polubić. Polubić i zaakceptować. Tak jak akceptuje się własne dzieci – z ich wadami i przewinami. Prawie rodzina. Prawie miłość. Choć ta miłość powinna jeszcze przejść próbę czasu. A czasu niestety nie mamy.

Siedzimy w namiocie, mdlejąc ze zmęczenia i od słońca, w oczekiwaniu na „kupców”, którzy pozabierają nas do jednostek wojskowych, posadzą na „sześćdziesiątki szóstki”⁸ i „urale” i powiozą w nieznane stopy i na oddalone posterunki

8 Samochód ciężarowy GAZ 66.